

# Tadeusz Hollender: Pisarze polscy o pomocy zimowej

Apel naszych czynników miarodajnych, wzywający wszystkich do wzięcia udziału w organizowaniu polskiej *Winterhilfe*, znalazł, jak wiadomo, szerokie echo wśród naszych pisarzy, którzy poświęcili tej sprawie wiele prac, rozsypanych po rozmaitych dziennikach i czasopismach. Zadałem sobie trud zebrania tych właśnie utworów, kierując się zresztą również bezinteresowną chęcią propagandy polskiego bezrobocia także wśród czytelników „Sygnałów”. Oto i plon mojej pracy, który na tym miejscu ogłaszam.

[...]

## **Bruno Schulz *Bezrobotny ojciec z pomocy zimowej***

W tym czasie nie wiedziałem jeszcze, że ojciec mój sam korzysta z Pomocy Zimowej. Szedłem ulicą pomiędzy domami o barwie tak cyrkonowej, że sam cyrkon mógł ująć przy nich za goździki. Wiało już pierwszą wiosną, z ziemi dobywał się jakby głuchy jęk. Zapatrzyłem się na znaczek pocztowy za wystawą, ale ten znaczek miał jeszcze inne znaczenie.

Uwagę moją zwrócił krab, niezwykle wielkich rozmiarów, który razem ze mną wskoczył do dorożki. Domyśliłem się oczywiście, że jest to mój ojciec, z którym w takich okazjach nie lubię się nigdy rozstawać. Krab miał bokobrody, jak cesarz Franciszek Józef i wielu braci, ale ci pomarli już dawno.

Wokoło rozwierał się świat. Od wystawy do wystawy pęczniał, szalał. Kule żarówek były jak pięści ze złota, jak brzuchy pomarańcz apokaliptycznych, z których wyrastały od razu całe drzewa i chlustały zielenią prosto w oczy. Wtedy ojciec mój zdjął sobie nagle z nieopisanym wdziękiem głowę z karku i zaczął się nią bawić. Pokazywał mi nią tłumy ubogie i obdarte, które właśnie zaczęły wypełniać ulicę.

Z początku było ich niewiele. Nagle poszczególne postaci zaczęły się łączyć z sobą i rozwiewać. Z każdego takiego połączenia wypadały nowe. Tłum gęstniał coraz potężniej. Rozrastał się, narastał jak ciasto w ogromnej donicy, rozradzał się biologicznie przez pączkowanie. A potem domy, światła, drzewa, pomarańcze, ulice – wszystko rozrosło się w jeden ogromny i obdarty tłum, który się rytmicznie zbliżał i oddalał, aby za każdym wstrząsem, jakby z aktu spółkowania wyrzucać z siebie nowe zwielokrotnione tłumy. Dorożka, w której jechaliśmy z ojcem, dudniła i sapała głucho. Ojciec trzymał teraz głowę pod pachą i dłubał sobie

palcem w nosie Czułem, że kopyta koni nie stukocą teraz w kostkę bruku. Nie. Droga była wybrukowana głowami tłumu i dorożka chwiała się na nim jak na falach. Podziwiałem teraz dopiero całą finezję ojca, który nie chciał się wyróżniać, chociaż był cesarskiego pochodzenia. Bo nagle swobodnie i beztrąsko wyrzucił własną głowę z powozu pomiędzy inne rozlane głowy. Po chwili straciłem ją z oczu.

Wtedy ojciec mój stał się gwiazdą. Wdychając zapach tłumu i uśmiechając się gorzko, wznosić się zaczął wysoko, wysoko. I stawał się w drodze konstelacją, i krabem – rakiem i Franciszkiem Józefem zarazem. Franciszek Józef – ojciec – krab – konstelacja, wszystko to właściwie pokręciło mi się i sam nie wiem dobrze, co mu wybrać, w każdym razie wróciło to wszystko do znaczka pocztowego. On był początkiem i końcem.

I wtedy, wtedy dopiero zrozumiałem, że naszym obowiązkiem jest złożyć grosz na Pomoc Zimową. Czasem zwykła, nieskomplikowana alegoria pomaga od razu, kiedy nie wiemy, co czynić należy.

[...]

Pierwodruk: „Sygnały” 1937, nr 25 z 1 stycznia, s. 15 (fragment).